

ŚWIETLICA

MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY
• ŚWIETLICOWEJ •



ROCZNIK I.
NUMER 8
Styczeń 1938

Rok 1863

Dnia 22 stycznia obchodzimy 75. rocznicę wybuchu powstania styczniowego. Pamiętnej nocy z 22 na 23 stycznia 1863 część społeczeństwa polskiego porwała za broń, by wywalczyć niepodległość swej Ojczyźnie. Powstanie wprawdzie zostało stłumione, lecz wykazało żywotność i siłę Polaków — półtora roku walczone z przemożnym nieprzyjacielem, rozbudzono na nowo ducha Polski, spotęgowano dążenie do własnego Państwa.

Walka, toczona w latach 1863—1864 w byłym zaborze rosyjskim nie ma równej sobie w dziejach państw innych.

Królestwo Kongresowe zalane było poprostu wojskiem rosyjskim, najmniejsze miasteczka miały nieprzyjacielskie garnizony. Rosjanie posiadali w swych rękach zorganizowaną administrację. A mimo to pod bokiem jawnego, wrogiego rządu powstał tajny Rząd Narodowy, z własną administracją, która objęła całą Polskę, powstały tego rządu oddziały wojskowe, półtora roku podtrzymujące zarzewie walki.

Walczył Rząd Narodowy o Polskę w granicach sprzed 1772 r., o Polskę silną z dostępem do morza, o Polskę demokratyczną, która miała zapewnić wszystkim obywatelom równą prawą, zrównać wszystkie stany, a włościanom dać ziemię.

Zaczerpnięte z książki p. t. „Rocznice“, Warszawa 1934

ŚLĄSK A ROK 1863

J. Grabiec pisze w swoim dziele pt. „Rok 1863“:

„Na Śląsku czynna była agentura zakupu broni w Katowicach. Agentem był Ign. Maciejowski, słynny później powieściopisarz. O czynności zaboru pruskiego świadczą obroty pieniężne. Tak np. sama tylko Wielkopolska od maja do września 1863 wpłaciła do kasy powstańczej 112.973 talarów. Prusy Zachodnie na broń w ciągu lipca i sierpnia 1863 r. przeszło 1½ miliona złotych.

W roku 1864 dochód miesięczny zaboru pruskiego wynosił 50.000 talarów“.

Ta zwięzła, lakoniczna notatka może nam posłużyć jako kapitalne świadectwo polskich, narodowych uczuć i patriotyzmu ziem polskich zabranych przez Niemcy, a szczególnie Śląska.

Dziś trudno o ślady polskiej, powstańczej roboty w 1863 r. na Śląsku.

Znając nastawienie bismarkowskiej polityki wobec Polaków, nie ma dziwu, że robota ta była tajna i dobrze zakonspirowana. Że jednak śląskie serca były w rytmach powstańczych 75 lat temu, i jak mocno były — tego świadectwem pozycje ksiąg kasowych powstańczego rządu.

Świetliczanie! Może uda Wam się znaleźć jakie wspomnienia, notatki czy dokumenty — oświetlające ten fragment dziejów polskiej myśli narodowej na Śląsku. Jeśli tak, podzielcie się swymi sukcesami na tym polu z „Świetlicą“. Spełnicie pożyteczny uczynek!

Mamy pewne dane, że na Śląsku Cieszyńskim zachowały się liczne dokumenty świadczące o aktywności powstańczej w 1863 r. tamtej dzielnicy.

Maria Konopnicka

O Zygmuncie Padlewskim

A w Zielonej, w Myszynieckiej,
Hukają puszczyki,
To Padlewski Zygmunt dzielny
Zwołuje Kurpiki

A w Zielonej, w Myszynieckiej,
Tam się echo goni,
To Padlewski Zygmunt dzielny
Woła lud do broni!

Zwołał wierne swe Kurpiki,
Zwołał w imię Boga.
Pod Myszeńcem bitwę stoczył
I pokonał wroga!

I znów cicho w puszcę zapadł,
Jakby go nie było . . .
I znów runął gdzieś na Moskwę,
Zmierzył się z jej siłą!

Aż wywiedli go Moskale
Z puszczy tej na pole,
Otoczyli i rannego
Uwięźli w niewolę.

Płaczą Kurpie i Kurpianki
Swego bohatera . . .
Nie odbije go już Moskwie
Kosa ni siekiera !

Tam gdzie modra Wisła toczy
Swoje srebrne piany
Padł Padlewski, wódz Kurpików,
W Płocku rozstrzelany !

Myszyniecka puszcza szumi,
Szepce swe pacierze . . .
A Kurpiki dotąd prawią
O swym bohaterze !



Powyższa rycina przedstawia rozstrzelanie Padlewskiego

Rozstrzelanie Padlewskiego

Zygmunt Padlewski, nie chcąc brać na sumienie dalszych męczarni znużonych i wyczerpanych z sił powstańców, w dniu 22 marca rozpuścił oddział, a sam osiadł we dworze myśłakowskim w okolicach Ciechanowa, gdzie

obmyślał z Chędyńskim, Malinowskim i innymi plan dalszych działań.

W dniu 22 kwietnia, jadąc na spotkanie wkraczającej z Prus partii — został aresztowany przez podjazd kozacki, poznany i rozstrzelany w Płocku dnia 15 maja.

ULASKAWIENIE

(OBRAZEK, OSNUTY NA TLE PRAWDZIWEGO ZDARZENIA
Z CZASÓW POWSTANIA STYCZNIOWEGO)

Stanisław Zygadlewicz ociężałym krokiem przechadzał się na skraju polany w puszczy jodłowej Gór Świętokrzyskich, gdzie już dwa dni obozował silny oddział powstańczy, oczekując na dalsze rozkazy. Był to człowiek młody, wzrostu średniego. Zmizerowaną twarz okalał czarny zarost, a oczy — jakby osnute tajemniczą mgłą — wpatrywały się gdzieś w dal...

Nie cieszyły go wesołe anegdoty opowiadane przez towarzyszy broni, gryźł go robak tęsknoty za żoną, za dzieckiem. Ożywiał się tylko na wspomnienie bitwy wachockiej, w której brał udział, stanowiąc ze swym oddziałem jedno z ogniw wielkiego łańcucha, który w żelazne kleszcze ujął Moskali i zgniół. A teraz myśl jego pędziła do Bodzentyna, oddalonego o dwie mile miasteczka, w którym pozostawił chorą żonę i małego syna Janka. Wiosna roztaczała wokół swe czary. Boć to była jedna z najpiękniejszych wiosen: wiosna roku 1863. Budząca się ze snu przyroda wsączała w serca bohaterskich powstańców otuchę do dalszych zmagania z przemożnym wrogiem i dawała nadzieję odzyskania wolności. Zmierzch zapadał. On chodził i ważył coś w sobie. Pójdę, zobaczę ich i rano wrócę — rzekł sam do siebie Stanisław.

Nacisnął czapkę, opatrzył pistolet i rażnym krokiem ruszył w głąb lasu. Stachu! Gdzie się tak śpieszysz? — zagadnął go Michał Żubr, jego serdeczny towarzysz. — Obserwowałem cię, wiem, że coś zamyślasz.

— Do domu, do swoich! Wiesz, że mam żonę chorą, do Bodzentyna tylko dwie mile, zajrzę i jutro rano powrócę. Powiedz towarzyszom, żem poszedł na zwiady i jutro wrócę.

— Strzeż się „Mochów“. Bywaj zdrów! Kłaniaj się Maryni, ucałuj syna i wracaj!

Uścisnęli się i ruszyli każdy w swą stronę: jeden do serc towarzyszy, drugi do serca kobiety kochanej, do serca żony i dziecka.

Przebiegł linię placówek i jak dziki zwierz przemykał się wśród niebośiężnych jodeł i sosen.

Co chwilę przystawał, chwycił za nabity w kieszeni pistolet, nadśluuchiwał i znów biegł dalej, potykając się o wielkie głązy tu i ówdzie wyzieraające spod wilgotnych mchów i traw, aż zmęczony usiadł, by nabrać sił do dalszej wędrówki. Noc była gwieździsta i ciepła. Od czasu do czasu lekki

wiaterek muskał wierzchołki drzew i znów zalegała cisza. A on marzył o wolnej Polsce i radował się, że swoje młode siły oddaje dobrej sprawie. Ani się spostrzegł, że dzień zaczynało, a gwar ptasząt rozpoczynał codzienny swój koncert. Zerwał się i biegł dalej przed siebie byle prędzej dojść do celu. Zdyszany, stanął na skraju Miejskiej Góry, u stóp której rozciągało się jego miasteczko rodzinne, Bodzentyn. Z daleka widać już było na wzgórku ruiny zamku biskupów krakowskich, stary kościół, pamiętający czasy Zbigniewa Oleśnickiego, i swój dom rodzinny, którego białe ściany ostro odcinały się od szarych domków sąsiadów. Po krótkim wahaniu — ruszył chyłkiem wśród zbóż i biegł bez wytchnienia, to miedzami, to bruzdami, wpadł na podwórko i jednym susem znalazł się przed otwartymi już drzwiami, tak dobrze znanej mu izby. Maryniu! Stasiu! I dwoje ludzi splotło się

w powitalnym uścisku, nie mogąc się nacieszyć swym widokiem.

— Biegłem do was, bom za tęsknił do ciebie Maryś i do Jaśka. — Wziął dziecko z kołyski, ścisnął i całował. — A ja, Stasiu!... — nie mogła mówić, bo łyzy cisnęły się jej do błękitnych oczu, tylko tuliła się do niego, pozostając czas dłuższy w niemym uścisku. — Cicho, nie płacz, jestem przy tobie, Maryś — pocieszał ją czule. Tęskniącymi oczyma wodził za krzątającą się koło porannego posiłku Marynią. Wpatrywał się w bladą twarzyczkę, okoloną kruczymi

włosami i zachwycił się zgrabną figurą swej żony. To znów szedł i kołysał jedynaka, nucąc mu z cicha piosenki żołnierskie. I długo rozmawiali ze sobą; on o potyczkach z Moskalami i życiu powstańczym, ona o kłopotach domowych, o swej tęsknocie za nim, strażnikach i szpiegu Spaśnym. — Do wieczora tylko Maryś, do wieczora! — jak złudne echo odbił się głos Stanisława w jej uszach. Nie robiła mu wyrzutów, ale jej sercem rwał ból... Zdawało się jej, że go straci na zawsze. Umył się, ogolił i zmienił brudne łachmany. Stanął jeszcze przed śpiącym Jankiem i szeptał: — Śpij dzieciно, będziesz może szczęśliwszy od nas. — A dziecko uśmiechnęło się przez sen, jakby zrozumiało treść słów ojcowskich i jakby widziało gdzieś w dali Wolną Rzeczpospolitą, skąpaną w jasności zórz.

II.

Dzień był targowy. Bodzentyn zaroił się okoliczną ludnością. Widać było ciągnące jedna za drugą furmanki, na których siedzieli chłopci w ciemnych, wysokich kapeluszach, odziani w czarne sukmany; to znów kobiety

w czarnych i czerwonych zapaskach sunęły z koszykami ku rynkowi i wni-
kały w mrowisko ludzkie, gwarne i falujące.

I Marynia podążyła na targ, by poczynić zakupy na drogę dla męża.
Lecz cóż to?... jakiś śpiew doleciał ją z oddali. Stała, wpatrując się w
uliczkę. Boże, kozacy! Struchlała, lecz dobyła z siebie ostatek sił i jak
ptak leciała, by go ostrzec.

— Stasiu! Kozacy w mieście! — krzyknęła przeraźliwie, wpadając do
izby. Zerwał się z pościeli, włożył kurtkę powstańczą, chwycił czapkę i na-
bity pistolet, ucałował żonę i dziecko i wybiegł, by znanymi drogami uciec
przed zagrażającym niebezpieczeństwem do obozu.

Dookoła Bodzentyna rozstawiono patrole kozackie i niepodobieństwem
było się przemknąć. — Gdzie się ukryć? — szeptał sam do siebie. — Do
kościół! tam nie będzie rewizji. Skoczył przez ulice, zmieszał się z tłumem
i niespostrzeżenie wsunął się cichaczem do kościoła, gdzie za ołtarzem zna-
lazł bezpieczne schronienie. — Doczekam wieczoru i ujdę — rozmyślał
wciśnięty w zagłębienie za ołtarzem.

— Boże! Tobie oddaję się w opiekę... — szeptał po cichu. Tymczasem
zbliżał się czas nabożeństwa majowego, kościół napelniał się wiernymi. Sły-
chać było szept pacierzy, to głucho westchnienie wyrывało się od czasu do
czasu z piersi ludzkich. I on się modlił, jak gdyby przeczuwał koniec swego
istnienia.

Zaczęło się nabożeństwo. Mnóstwo świec rozgorzało na ołtarzu, a woń
kwiatów złożonych u stóp Marii rozchodziła się po kościele. Ksiądz, staru-
szek, siwy jak gołąb, donośnym głosem zaintonował litanię ku czci Boga-
rodzicy, a monotonne „Módl się za nami“ kładło się u stóp Matki Naj-
świętszej wśród zieleni i różnobarwnego kwiecia. W końcu śpiewano „Pod
Twoją obronę“. Stanisław śpiewał z taką mocą i siłą, jakby chciał, by jego
głos najpierw doleciał do Bożej Rodzicielki i uprosił zmiłowania.

Wtem złowrogi szept przebiegł wśród modlących się: „szpieg Spaśny
i kozacy“. Pijana tłuszcza moskiewska, na czele ze zdrajcą, szła ku ołta-
rzowi. W kościele powstało zamieszanie i groźny pomruk przerażenia
wstrząsnął piersiami ludzkimi. Stanisław, skorzystawszy z zamieszania sko-
czył do zakrystii, by znanym sobie wyjściem zbiec przed śmiercią.

Kościół otoczyli kozacy. Toteż na wybiegającego Stanisława rzuciło się
znieścacka trzech silnych żołdaków. Szarpał się, gryzł, chcąc uwolnić ręce
z żelaznych uścisków, lecz daremne były wysiłki. Organizm jego wycieńczo-
ny trudami życia obozowego, nie zmógł siły fizycznej. Zbity, posiniaczony
i związany, siedł otoczony zgają moskiewską przed sąd wojenny. Indago-
wany i bity nahajkami kozackimi, nie wydał miejsca postoju współbraci
powstańców. — Nic nie powiem ponad to, że jesteście katami niewinnego
narodu i nienawidzę was z całej siły. Bóg was ukarze podli ciemnicy! —
„Małczy“ — rzucił gniewnie pułkownik, nakazując odprowadzić go do przy-
ległego pokoju.

Narada trwała krótko. — „Na szubienicę“ — powtórzono mu wyrok.
Przed budynkiem tymczasowego sądu zbierał się tłum, a wśród milczącego
tłumu stała Marynia z dzieckiem, zanosząc się od płaczu. — „Ułaskawiony
będzie, dano depeszę do kieleckiego gubernatora“ — jak echo odbiło się

w tłumie zdanie oficera, jednego z członków sądu wojskowego, wypowiedziane dla uspienia groźnej lawiny ludzkiej, która rosła i potężniała z godziny na godzinę. Nazajutrz, otrzymawszy pociechę religijną od miejscowego proboszcza, szedł Stanisław otoczony silną eskortą kozaków za miasto, na wąchockie pola.

Dalej ciągnął tłum, modlił się i żalił. Szła i Marynia z synem podtrzymywana z obu stron. A on szedł wyniosły i dumny, tylko od czasu do czasu oglądał się na żonę i dziecko, jakby chciał utrwalić na zawsze widok tak drogich sobie istot. Nie smucił się, bo wiedział, że za Polskę ma umrzeć. Odwracał się i nucił:

A gdy mnie zawiodą na wąchockie pola

Jeszcze się obejrzę gdzie Marynia moja.

A gdy mi założą powrózek na szyję,

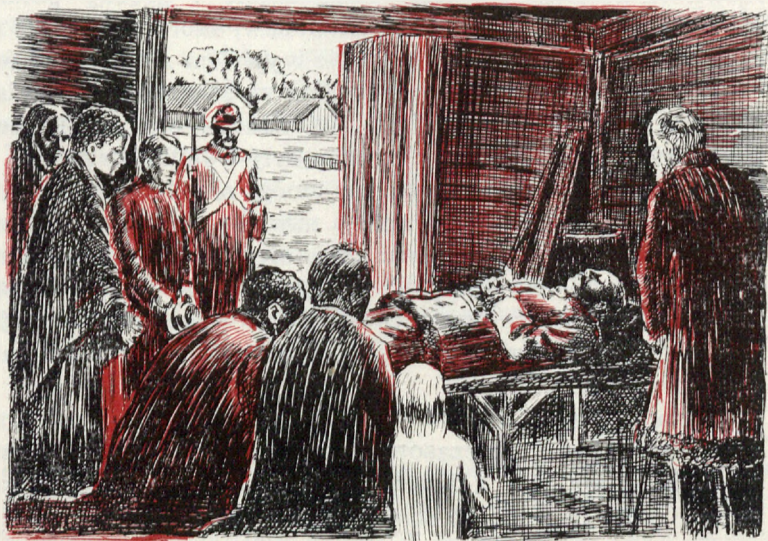
Powiedcież rodzinie, że ja już nie żyję!

Tłum żałkał i zakołysał się, tylko on szedł dumny i wyniosły. Za miastem wzniesiono już szubienicę, widać ją było z daleka.

Słońce dogrzewało, w około roztaczała się zieleń zbóż i traw. — Boże, zmiłuj się nade mną, miej w opiece Marynię i Janka, przywróć Ojczyźnie wolność — modlił się z cicha skazaniec. Kat trzymał przygotowany sznurek. On stanął na wzniesieniu, posłał oczyma ostatnie pozdrowienia dla żony i synka, i z całej mocy wznosił okrzyk: Jeszcze Polska nie zginęła! Głos uleciał w górę i pędził wraz z wiatrem po polach, łąkach i lasach.

Usunięto stółek, ciało Stanisława zawisło, duch uleciał, a w tłumie rozległ się krzyk grozy. Trupa odcięto.

Jego zsiniałe, stężale zwłoki leżały na ziemi i jakby szeptały jej o wolności. Marynia przedarła się przez kordon żołnierzy otaczający ciało jej męża, przylgnęła do niego całym swym jestestwem, obsypując go ostatnimi pocałunkami. I zdało się, że żadna siła nie zdolna byłaby ją rozdzielić od drogich zwłok, dopiero żołnierz moskiewski okręciwszy jej długie krucze



Ciało
Czachowskiego,
jednego z przy-
wódców powsta-
nia styczniowego

włosy wokół ręki, odciągnął ją na bok, zostawiając w garści pęk wyrwanych włosów. Lud stał struchlały. Od strony miasta ukazał się mały oddział konnicy rosyjskiej. — Wieziemy ułaskawienie od gubernatora — zawołał z daleka oficer kozacki. — Podli, Judasze! — szemrał tłum. Nie rozchodzono się. Wkrótce potężna pieśń: „Z dymem pożarów“ rozległa się wokoło. Naród klęczał i śpiewał. A pieśń wznosiła się w niebiosa, niosąc do stóp Najwyższego skargę i ból ciemzonego narodu.

Jakub Swajdo

(Frydek, pow. pszczyński)

ZAŚPIEWAJMY...

Podajemy poniżej jedną z najbardziej rozpowszechnionych piosenek żołnierskich z 1863 r.

WRONY KONIK

Śpiew

tułnia lub gilara

Wrony konik w lot biega, w lot biega, w lot biega, w las:
Głos się wodza rozlega, rozlega, rozlega

Na ko-me-n-dę do bro-ni, do bro-ni, do bro-ni, do bro-ni, do bro-ni, do bro-ni każdy

wrogów niech go-ni niech goni niech go-ni, niech go-ni z nas

1. Wrony konik w lot biega, głos się wodza rozlega w las.
Na komendę do bronii, każdy wrogów niech goni, z nas.
2. Błysnął ostrzem swej szabli, bracia, wiara, czas nagli nam!
Na komendę itd...

3. I wykrzyknął w zapale, kto ucieka w łeb walę sam.
Na komendę itd...
4. Hej, zza lasu znienacka, wrogów chmura żołdacka tuż.
Na komendę itd...
5. Dalej, wiara, za nimi, bo któż w polskiej dziś ziemi tchórz?
Na komendę itd...
6. Nie rozmyśla, lecz pali, chociaż wrogów się wali rój.
Na komendę itd...
7. Hejże, wodzu, tobie cześć, kraj rodzinny musi nieść twój.
Na komendę itd...

ANDRZEJ STRUG (Tadeusz Gałęcki)

1873 — 1937

Umarł Andrzej Strug. Odszedł w 64. roku życia niestrudzony, wybitny bojownik o niepodległość Polski, rewolucjonista z lat 1905 — 1906, żołnierz Legionów Piłsudskiego, człowiek nieskazitelnego charakteru, nacechowany niezależnością i śmiałością przekonań, postać otoczona powszechnym szacunkiem, którego nie mogli mu odmówić nawet zawzięci przeciwnicy ideowi i polityczni.

Odszedł pisarz wybitny, jeden z pokolenia Żeromskich, Reymontów, Wyspiańskich, pisarz, którego dzieła są trwałymi dokumentami polskiej rzeczywistości w pierwszej ćwierci XX wieku i manifestami polskich walk o niepodległość na przestrzeni lat 1863 — 1920.

Żywoć jego to był żywot trudny, pełen energii, walki, idący zawsze na przekór przeciwnościom i przeszkodom po linii, którą wytyczała idea.

Wyszedł z warstwy ziemiańskiej (urodzony w 1873 w Konstantynówce pod Lublinem) a był szczerym demokratą i bojownikiem o lepszą przyszłość mas robotniczych i chłopskich. Jako czynny działacz oświatowy zostaje w r. 1894 aresztowany przez władze rosyjskie i zesłany na wygnanie w głąb Rosji. Po powrocie staje się jednym z najwybitniejszych konspiracyjnych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej. W r. 1905—6 bierze udział z bronią w rękę w ówczesnym polskim ruchu rewolucyjnym, po którego stłumieniu musi wyjechać za granicę i osiada w Paryżu. Tu przeżycia rewolucjonisty stają się materiałem twórczym do obszernego cyklu powieści i opowiadań. W twórczości Struga z tego okresu znajdujemy obraz zmagania niepodległościowych ówczesnego polskiego pokolenia. Powstają „Ludzie podziemni“ (1908), „Jutro“ (1909), „Ze wspomnień starego sympatyka“ (1909), „W twardej służbie“ (1909), „Dzieje jednego pocisku“ (1910), „Ojcowie nasi“ (1911), „Portret“ (1913). W książkach tych odsłonił Strug świat ludzi podziemnych, zakonspirowanych bojowników o nową rzeczywistość społeczną i narodową.

Tuż przed wojną pisze Strug mocną, szeroko zakrojoną powieść „Pieniądz“.

Lata 1914 — 15 spędza w szeregach Legionów Piłsudskiego jako ułan Beliny.

Od r. 1916 osiada w Zakopanem. Tu powstaje jedna z najlepszych powieści Struga: „Kronika Świeciechowska“, plastyczny obraz przeżyć marzyciela w środowisku małego miasteczka. Rzeczywistość polska z lat przedwojennych i z początku wojny znalazła odbicie w powieści „Chimera“.

W r. 1920 powstaje „Odznaka za wierną służbę“, pamiętnik legionisty. Jedna z najbardziej znanych książek Struga to „Mogiła Nieznanego Żołnierza“ (1922), obrazująca życie na tyłach wojny i w niewoli, doskonała pod względem budowy przez równoległe prowadzenie dwóch wątków, ze wspianą postacią Nelly.

Strug, zawsze czujny obserwator tych przemian, jakie zachodziły w społeczeństwie polskim, nie mógł pominąć w swej twórczości tych fermentów i niepokojów, jakie zaznaczyły się w społeczeństwie naszym w latach powojennych, na tle rozdźwięku między rzeczywistością Polski niepodległej a tymi ideałami, według których wyobrażali sobie tę rzeczywistość bojownicy niepodległości. Te zjawiska znajdują wyraz w powieści „Pokolenie Marka Świdy“.

W ostatnim dziesięcioleciu pojawiają się jeszcze następujące dzieła Struga: „Fortuna Kasjera Śpiewankiewicza“, wnikliwe studium duszy zwyczajnego, szarego człowieka „Klucz otchłani“ (1929), opowiadania wojenne, trylogia „Żółty krzyż“ (I. — „Tajemnica Renu“, II. — „Bogowie Germanii“, III. — „Ostatni film Ewy Erard“). Na kilka dni przed śmiercią pisarza pojawiła się na półkach księgarskich powieść związana z „Pieniądzem“ pt. „Miliardy“, której dalszy ciąg znajduje się w rękopisie.

W utworach ostatniego okresu swej twórczości, zwłaszcza w „Kluczu otchłani“ i „Żółtym krzyżu“, Strug, dawny rewolucjonista i żołnierz legionowy, roztrząsa zagadnienia wojny i pokoju.

Józef Mączka

Krwawy spadek

A toż jest krwawy spadek wasz

I krwią pisane ku wam słowa:

Trzymajcie ziemi onej straż,

Gdy przyjdzie zamieć piorunowa . . .

Nie dajcie szarpać ziemi łona,

Gdy krwią dziś świeżą poświęcona! . . .

Zaś którzy wyszli spośród was
I krew oddali swą serdeczną,
Niech będą wartą wam słoneczną
Po wszystek czas — po wszystek czas —
I niechaj granic polskiej ziemi
Duchami strzegą płomiennymi! . . .

Co czytać?

ANDRZEJ STRUG

MOGIŁKA

(FRAGMENTY)

Mogiłka jest opowiadaniem ze zbioru „Ojcowie nasi“, który ukazał się w r. 1912. Zawarte w tym zbiorze nowele dotyczą powstania styczniowego z r. 1863 i są hołdem, złożonym przez bojownika rewolucji z r. 1905 pokoleniu bohaterskich straceńców i męczenników powstańczych walk o niepodległość. „Ojcowie nasi“ to jedna z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających książek o powstaniu styczniowym.

Treścią opowiadania „Mogiłka“ jest wędrówka rozbitego oddziału powstańczego ku granicy austriackiej, za którą czeka rozbitków ocalenie i wypoczynek. Nie udaje im się wymknąć z zastawionej przez wojska rosyjskie matni. Przyjmują ostatnią walkę i giną po bohatersku.

*
*
*

Jeszcze wczoraj mogli się byli przekraść.

Dziś, o tej porze, byliby już wszyscy w pasie nadgranicznym, gdzie nie podchodził nieprzyjaciół. Całą dobę stracili na błędzeniu, kołowaniu i zawracaniu po bezdrożach.

Tak parli już ostatnim wysiłkiem, a dwa tygodnie minęło od nieszczęsnej potyczki pod Kozyrkami.

Ale nie podobna było ukryć przed wszystkim, co żyje, przechodów spo-rego oddziału. Pomimo wszelkich manewrów i ostrożności — zawsze ktoś ich tam dostrzegał i kozacy zmieniali kierunek pościgu — zachodzili, okrążali i partia musiała cofać się, zmieniać plan, kołować, błdzić i z konieczności posuwać się w fatalnym kierunku do fatalnego miejsca, gdzie na dwie mile od granicy rozstawione były trzy bataliony piechoty, działające w porozumieniu z brygadą kozacką.

Ludzie ginęli, błędząc po nocach, patrole wysyłane na zwiady, wracały rzadko. Oddział nił w oczach i pewnego dnia z groźnej partii bojowej stał się bezładną kupą uciekinierów — myślących tylko o własnym ocaleniu.

Tego ostatniego dnia było ich w kupie tylko dwudziestu trzech.

Okolo czwartej po południu wyszedł już z ludzi ostatek sił. Wlekli się wszyscy w kupie, noga za nogą, opierając się na sztucerach, zataczając się

i ledwie dysząc. Granica musiała już być gdzieś bardzo blisko. I tylko ta bliskość granicy podtrzymywała jeszcze cudem siły ludzkie. Ale wszystko ma swój koniec.

Nastąpił moment, kiedy kilku od razu zwało się na ziemię i nie mogło już powstać. Pułkownik błagał ich, żeby się jeszcze przemogli. Nic to jednak nie pomogło. Należało wythnać. Rozłożyli się w krzakach na brzegu sporej polany, na której stały samotne purpurowe buki i kilka bladożółtych klonów. Rozłożyli się w łańcuch, frontem do polany, mając za sobą las i granicę. Nakazane było nie spać i trzymać broń gotową. Większość jednak już po minucie zaczęła chrapać a reszta z głodu gryzła i żuła gałązki bukowe lub pożerała surowe grzyby.

Wachmistrz stanął na brzegu ogromnej, starej, zapuszczonej i już nieco porastającej poręby. Przez szkła zobaczył daleko, daleko dwa wiatraki, obracające leniwo skrzydłami na tle nieba. Prowadząc lornetę po horyzoncie, znalazł rząd topoli i białą, murowaną dzwonnice.

Postał Smyczyński, postął i wrócił do lasu. Kiedy doszedł, wszyscy patrzyli pilnie w głąb lasu i nad słuchiwali bacznie. Spoza nich, z głębin lasu dochodził słaby, nie milnący szmer. Na tle tego szmeru to coś stuknęło głucho, to znowu doleciał jakby głos ludzki, to wydało się, że ktoś rozmawia, to jakby koń parsknął... Odgłosy te zdawały się dochodzić od razu ze wszystkich stron.

Pułkownik był błądy jak trup.

— Co? Oblawa — szepnęła do wachmistrza.

Smyczyński ponuro kiwnął głową. Cicho, porozumiewając się tylko gestami, pułkownik wyprowadził ludzi na porębę. Jak okiem zajrzał, sterczały tu pnie. Dalej stały pojedyncze kilkunastoletnie drzewa, nasienniki, a jeszcze dalej czerniały na porębie, jak złomy z kamienia, luźne, porzucane sęgi i olbrzymie, już czarne stare kłody bukowe. Ku tym sęgom i kłodom zmierzali biegnąc. Ale za ledwie dopadli i pochowali się, jak który mógł, wystawiając broń ku lasowi, od prawej strony o jakie tysiąc kroków spomiędzy pieńków i spoza takich samych pólśażków wyrosło nagle wśród ciszy wielkie mnóstwo rozproszonych ludzi. Uderzyły bębny i ciżba żołnierska rozlała się w obie strony w długi łańcuch. Trąby z pośpiechem wygrały sygnał i od razu z kilkudziesięciu miejsc buchnęły dymy i grzechot wystrzałów uderzył w cichy las.

Już od godziny kule stukały głucho w kłodę bukową, za którą leżał pułkownik wraz z trzema towarzyszami. Gwizdały im i śpiewały śmiertelnie koło uszu, szły górą grając, a najczęściej wlepiały się w kłodę, która odpowiadała posłusznie za każdym razem, jak gdyby liczyła wystrzały. Walały do nich całe dwie rotę, gdyż na polanie bitwa od dawna już była skończona. Wybici byli wszyscy co do nogi, ranni byli już dawno podobijani i obrabowani ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość dla żołdatów.

Już dwa razy kapitan, dowodzący rosyjską piechotą, wstrzymywał ogień i krzyczał: „poddaj się“. Zauważył bowiem, że w tym głupim spotka-

niu padła już nieprawdopodobna ilość żołnierzy i ranieni byli trzej oficerowie. Odsunął tedy linię strzelców i prał z daleka w tych kilku pozostałych. Najlepsi strzelcy starali się i popisywali jeden przez drugiego, a potężna kłoda broniła zatraconych Polaków. Wybiegło wreszcie kilkunastu na ochotnika, wrzeszcząc „ura“, ale kiedy po drodze wywróciło się aż czterech, reszta przypadła do ziemi i, usadowiwszy się za pniakami, zaczęli z bliska ostrzeliwać kłodę. Tu dopiero trafiony został Rykwiła, który przez cały czas jak maszyna nabijał broń i podawał Gadzińskiemu, a ten ani razu nie chybił. Teraz dopiero kula oberwała pułkownikowi część ucha. Dostał i Szymborski w sam środek czoła.

Znowu zaprzestano strzelać. Kapitan wyszedł przed linię strzelców, machał białą chustką i znowu coś krzyczał po rosyjsku.

Pułkownik kazał chłopcu nie strzelać i wyszedł na kłodę. Ale Gadziński, który strzelał bez przerwy już od godziny, który już nie widział naokoło siebie świata i nie rozumiał już nic — jeno tę niepoohamowaną żądzę strzelania, nie mógł wytrzymać dłużej, jak kilka chwil. Podczas zawieszenia broni celował on do kapitana, żeby jak tylko się zacznie strzelanina, powalić jego pierwszego. Na tego kapitana miał on od dawna chęć, ale stary oficer trzymał się zawsze za daleko. Teraz zbliżył się nieco i stanął wyraźnie na tle czerwonej ściany lasu.

— Teraz pewny — szepnął chłopak i zupełnie mimo woli nacisnął cyngiel. Kapitan upadł.

W odpowiedzi na to gruchnęły strzały z tamtej strony i pułkownik zważył się z kłody. Gadziński został sam jeden. Nablił znowu, wymierzył, ale już dopadli żołnierze i kilka bagnetów jednocześnie przygwoździło go do ziemi.

Na polanie trąbki sygnałowe grały „zbor“.

.

O południu skończyły chłopcy robotę, uprzątlili dobrzy ludzie, przykryła gościnna ziemia to nieszczęście człowiecze. W ciasnym dole zmieścili się wszyscy, poszarpani przez okrutną śmierć. Urwały się ich cierpienia i ich cele i ich czyny. Poszły w zaświaty te dusze nieznaną swoją drogą. Derda, zdatny do ciesielki, wyrzucił sporą figurę z młodego, gładkiego buczka. Dźwignęły chłopcy krzyż i postawiły we swoje miejsce. Starszy od bractwa, Jewczyk, znający modlitwy kościelne, odmówił nad grobem, co należało. Ponakładali czapki, powzdychali, zabrali się i poszli.

.

Przyszły zimne szarugi jesienne. Przez długie czarne noce mocowały się wichry z krzyżem, aż pochylił się nad mogilką, jakby ją chciał jeszcze sobą przykryć i ochronić. Wył wicher w nagich gałęziach, chodził nad lasem głęboki szum, jakby od dalekiego morza. Lały się strugami zimne deszcze i wsiąkały w rozkopaną ziemię.

Nikt tu nie bywał.

Zarastał mogilkę młody, gęsty las, opuściło mogilkę wszystko, co tam gdzieś żyło na dalekim świecie.

Wymarło pokolenie, dla którego było jeszcze „porębą“ to miejsce, gdzie szumiał o tej porze tęgi, dorosły bór. Już w ziemię patrzeli ci, co się porodzili pod znakiem klęski w onym nieszczęśliwym roku.

Któregoś roku przeszli przez gąszcz gajowy z panem nadleśniczym, wycechowali najdorodniejsze buki. Przyszli potem ludzie z siekierami. Upadł pod siekierą las bukowy i pojechał w świat koleją.

Któregoś popołudnia pracowali ludzie na spiekocie, złani potem, złamani trudem i jak zbawienia wyczekujący wieczora. Leniwie obracały się łopaty, ładując glinę na wagonetki. Nagle posypały się z góry wraz z darnią i ziemią jakieś kości. Potoczyła się za nią druga — trzecia — piszczele, żebra — kręgosłupy.



Ustała robota. Sam dozorca podszedł patrzeć. Obstąpili ludzie wokół te stare resztki.

- Dziura w czole wybita. To od kuli.
- Pod okiem kość przebita...
- To po jakiejś bitwie...

Patrzyli w górę robotnicy, gdzie na sam brzeg wyszedł jeden, żeby odgrzebać i zepchnąć na dół, co tam jeszcze zostało w starym grobie. Spadały kości raz po raz, zsuwały się czaszki po pochyłości i zataczały się daleko. Zgromadzono to do kupy, naliczono dwadzieścia głów.

Gapił się na to i stary dziadyga — który prowadził konie przy wagonikach. Stał, patrzył razem z innymi, a kiedy się już napatrzył zawołał:

— Wiem, wiem. To z powstania. Tu na porębie były tyż zakopane. Prawdę powiadam! Było to na jesieni. Jak tu jeszcze w koło nic nie było, nic a nic, jeno te lasy, lasy.

Dozorca gnał do roboty, ale ludzie odsłoniли głowy i stali w milczeniu.

Biała baśń

Wstaje dzień . . .

Zrazu szarość nieprzenikniona, smutna i pełna ciszy, jako ta wioska, w daleką między górami rzucona kotlinę, — potem spoza mgły odsłaniają się jak oczy ze snu przebudzone, małe okienka chałup, — wreszcie, prześwietlona na wskroś różaną zorzą, odbłaskiem wschodzącego słońca, rozpada się mgła w jasności świtu . . .

Tak się bezbarwne, zwyczajne i szarym tumanem codzienności przesłonięte, życie ludzkie rozjaśnia, gdy w nie padnie promień radości.

I we mnie roztopiła się dziś resztą łez żałość zadawniona, — ze świtem wstała dusza skąpana w ciszy, radosna jasnością dnia i własnym zachłyśniętą szczęściem. Gdzieś daleko pozostały smutne szarością — sprawy dnia codziennego, — dziś musi być radosne! Porzuciwszy niziny, chcę się powietrzem gór upić, zapomniawszy o czasie, który niedostrzegalnie i bezlitośnie wszelkiemu weselu kres kładzie. Niegdyś oczy krótkowidzące, we własne jeno, poziome sprawy zapatrzone, ślepe były na cud co dzień się jawiącego piękna i tajemnicę odradzającego się wieczystości życia. Dziś, tęsknotą wyczarowane, jawi się nagle w całym swym bogactwie oczom, co przejrzały nagle i chciwie wszystko wokół chłoną. Co krok jawi się cud, wciąż nowe, nieznane piękno.

Ciepłym oddechem roztopione, nikną szybko kwiaty i arabeski, kunsztownie ręką mrozu na szybie wyrzeźbione; kółeczko, mozolnie odchuchane, coraz szersze zatacza kręgi, — oczy w biały cud wpatrzone nieruchomo, szeroko podziwem rozwarłe... Nagle bunt: „Dlaczego nie usunąć przejrzystej, szklanej zasłony, oddzielającej od świata oczy, piękna łakome?“ — trzask otwieranego z trudem okna — i mroźna para wdiera się natrętnie w ciepłe powietrze pokoju. Surowy, świeży wiew — jak mocne, krzepkie pozdrowienie z obcego, nowością kuszącego kraju, walczy z lenistwem i gnuśnością ciała, które nie znało dotąd głodu przestrzeni — za oknem inny świat, nowy a rzeczywisty, piękny, jak baśń, w dzieciństwie zasłyszana.

Gdzie oczy zgubiłaś duszo moja, że dotąd ślepa, głucha i niema przechodziłaś mimo najwspanialszego dzieła Bożego — natury? Patrz — tuż pod oknami chaty, lekko w dół spadająca, rozciąga się nietknięta ludzką stopą, dziewicza, biała łąka, dalej — milczący, nieruchomy, w ciszę własną zasłuchany, dostojny, pod śnieżnym baldachimem skryty las, za nim wyżej — pagóry, leniwie w cieniu rozłożone, czekające słonecznego promienia, co by ich biel jednostajną roziskrzył tęcz tysiącem, dalej — hen — o ciemny błękit wsparte dumnie — groźne iglice szczytów.

I znowu nagły sprzeciw spragnionej szerokiego oddechu piersi: „Czyż tylko ten mały skrawek świata, któremu uśmiecha się okienko chaty, ma być widny oczom, piękna łakącym?“ Kto przewyciężył opór okna, opornego powiewom z szerokiego świata, temu i drzwi staną otworem.

Skrzyp drzwi — i stopa na progu chaty wsparta. Oczy, do blasku nienawykłe, nakrywają się raz po raz powiekami, na rzęsach, na oczy opu-

szczonych, błyska i gra kolorami tęcza, — przez chwilę nie widać nic, — blask oczy rani; zwolna, zwolna rozwierają się coraz szerzej powieki i nagle jawi się oczom smukła sylwetka — któż to? Chwila skupionej uwagi — ach! to Jędrak, syn gospodarza, narciarski mistrz juniorów. Oczy od blasku dłonią przysłoniwszy, w dal mroźną patrzy, profil śmiały, ostro zaryso-



Drzewa, przykryte białymi
czapami, skłaniają ku ziemi
ciężkie okiście

wany, zdradza górala; narty do nóg przypięte, obok na śniegu na kogoś czekające drugie. Nagła mnie porywa zazdrość i wstyd zalewa równocześnie. Nie zaznałem dotąd rozkoszy bujania na drewnianych skrzydłach po śnieżnej przestrzeni; (bóg Hermes też miał u n ó g skrzydła). Mimowolne westchnienie przerywa jasny, dźwięczny głos: „Dobry dzień! Doś kwile już na nik cekom — prziniózek im skije; ubierom się, to wej pojedziem hore, naucom się spuscać, coby im tu w górach wesoło było“.

Zbliża się, śmigły jak smerek i już pochyla się, by nartę przypiąć; za

chwilę dopasowane obie — stoję na deskach, śmiesznie długich, i nagle mnie zalewa radość: „Zakosztuję i ja niezaznanej dotąd rozkoszy!”

Ba! łatwiej myślą, niż na nartach przebyć przestrzeń od pragnienia do jego realizacji. Dwa kroki — i biedne ciało o ziemię — matkę boleśnie uderza. Sprawa arcytrudna! Łatwiej tom nowel narciarskich spłodzić, niż sprawnie śnieg deskami krajać. — „Jenem śmiało, a kijkama sie odeprzyć — a nie boć sie“ — uczy Jędreka. Docieram wreszcie do dziewiczej łąki, tuż pod okienkiem mego pokoju rozłożonej. Zbliża wydaje się inna, bardziej stromo spadająca. — Lekki zjazd; — Jędreka udziela wskazówek: „nogi leko w kolanach ugnijcie, kijki na zadek — ja...zda!” zjechał pierwszy, by zrobić ślad. Już jest pod lasem, na sekundę zasłonił go śniegowy puch — to „kristiania“ — jak później objaśnił.

Łąka przestała być dziewiczą. — Wchodzę w kolejną, ale za moment, w połowie śladu, kładę się bezapelacyjnie w śniegową pierzynę. Lekkie ukłucie w sercu — „cóż za niedołęstwo“ — zazdrość na widok pięknej, jakże swobodnej jazdy mistrza. „Kropię się“ niezliczoną ilość razy, złość na siebie — ale i zaciętość wzbiera. Chwila za chwilą mija niespostrzeżenie, słońce coraz wyżej — już i na łączkę, niemiłosiernie nartami strатовaną, zagląda okiem łaskawym.

Uczę się zapamiętane, zapomniawszy o wszystkim, zatraciwszy pojęcie czasu, przejęty jedną myślą, jedynym pragnieniem: „Byle nauczyć się zjeżdżać bez upadku“. Mija dzień — mija i drugi, mija tydzień i drugi — wszystkie podobne do siebie, tym tylko różne, że dzień każdy nowe przynosi doświadczenie, nową nieocenioną w dziedzinie kunsztu narciarskiego zdobycz.

Wreszcie i koniec wywczasów. Żal, że minęły tak szybko, jest jedynym uczuciem, jakie wypełnia duszę. Myśl uprzykrzona, że wrócić trzeba w bezbarwne niziny, po tych białych, jak do ślubu przystrojonych górach — jakże szare, odbiera humor i przytłumia radość dni ostatnich. Ze smutkiem, narty przypiąwszy, idę samotny żegnać się z górami, które w ciągu tych kilkunastu krótkich dni tak pokochałem. Dzień wstał pogodny, jasny, mroźny, w wesołym skrzypocie śniegu zuchwała ze swej piękności radość objawiający. Ucieka spod nóg ziemia, migają drzewa i pagórki, coraz nowe i coraz piękniejsze odsłaniają się widoki. Radość życia, rozkosz istnienia, najsilniej odczuwana na łonie pięknej natury, wypełnia całą duszę. Nie ma już miejsca na stare bóle, które gdzieś głęboko zagrzebane zostały i spod powłoki radosnej nie wyłonią się nigdy. Odpadło wszystko, co jest ludzką słabością i niedołęstwem, wyparte siłą silnego lotu, zagubione zostało w sile pędu, co radosne łączy z oczu wyciska.

Jakże pięknym jest świat! Oto wjeżdżam w aleję sosen i świerków, które właśnie słońce całuje. Drzewa, przykryte białymi czapami, skłaniają ku ziemi ciężkie okiście w ruchu miłośniczo modlitewnym, a mróz przystroił gałązki w pajęczce, koronkowe wzory — patrzę i oczu oderwać nie mogę. Czardziejka chyba przeszła tędy i różdżką o tajemnej mocy tknąwszy lekko drzewa, w ślubną je szatę przyodziała, welonem z koronek osłoniła — i w panny młode, niewinne dziewice, na oblubieńców czekające — zamieniła. Jeszcze trwa czar — a tu już drugi cud się oczom jawi: Oto drobne igiełki

mrozu, błyszczące, połyskliwe, w dziwnie przejrzystym powietrzu doskonale widne, nagle w tęczową się uformowały kolumnę i tworzą słup świetlisty, jakby drogę, do nieba wiodącą. Nieśmiertelny czarodziej — słońce, ojciec malarstwa i sam mistrz nad mistrze, diamentami gwiazd błyszczących przetkał godową szatę ziemi, oblubienicy swojej. Świat jest srebrnobiały... — Oczy chciwie chłoną czarowne obrazy, by je utrwalić na obiektywie pamięci.

Żegnajcie góry, żegnajcie duszki leśne, które dobrotliwie opiekujecie się człowiekiem, przypadkiem w królestwo wasze zabłąkanym gościem, żegnajcie zbocza, coście mi dały poznać rozkosz pędu — żegnaj ziemio czarowna, której nieskalaną szatę deptałem niegodnymi stopy — żegnaj niezapomniana kraino „białej baśni“! — Kiedyś tu wrócę...

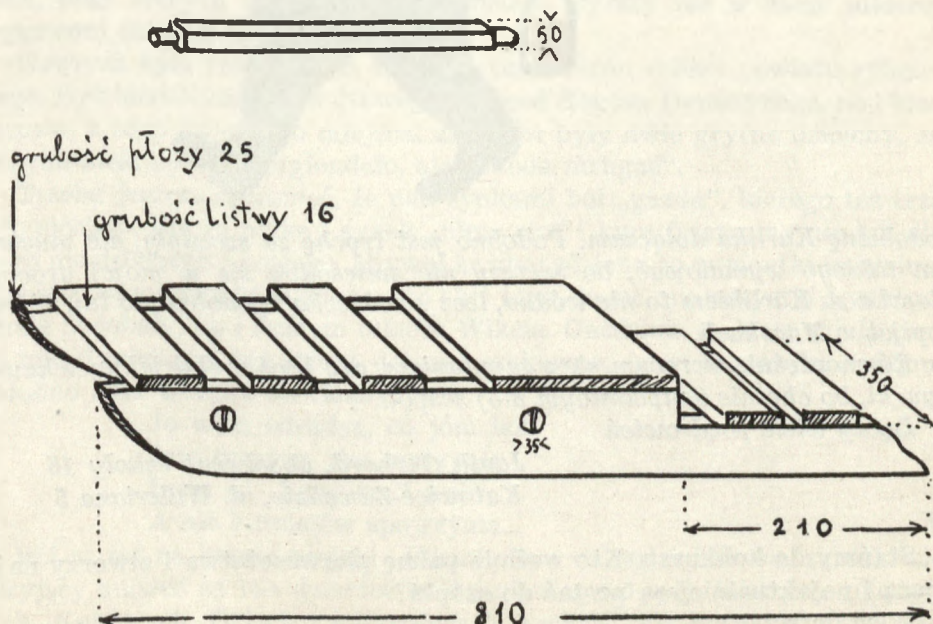
Stefan Kisielewski

Jak wykonać sanki?

Bierzemy dwie deski 25 mm grube i za pomocą piły krzywki i struga formujemy kształt jak wskazuje rysunek.

Następnie przycinamy 5 listew oraz szerszą deskę, które połączymy z płozami za pomocą śrub. Celem silniejszego połączenia płóz dajemy dwie belki zakończone czopami, które smarując klejem, wbijamy w odpowiednie otwory płóz. Czopy winny być zaklinowane.

Szczegóły uwidocznione są na rysunku. Wymiary podane są w milimetrach.



Robimy szopkę...

Artykuł pod powyższym tytułem, zamieszczony w ostatnim numerze „Świetlicy“ wywołał w kołach naszych czytelników żywy oddźwięk.

M. inn. otrzymaliśmy następującą ilustrację wraz z listem, który przedrukowujemy:

Szanowna Redakcjo!

Na wezwanie ogłoszone w nrze 7. „Świetlicy“ donoszę, że do dnia 20 grudnia wykończyłem szopkę taką, jak podano we wspomnianym numerze. W mojej szopce za chłopcem z gwiazdą idzie Karlik z Kocyndra i prowadzi swoją orkiestrę, która jest podobna do tej, jaką podano w „Świetlicy“.



Podobiznę Karlika dołączam. Podobno jest trochę za szczupły, ale musiałem takiego wymalować, bo szerszy nie zmieściłby się w mojej grocie. Flaszka za Karlikiem to nie wódka, lecz „wodeczka“ podobna do tej, którą popijał w Maczkach.

Równocześnie zwracam się z zapytaniem, czy ktoś zrobił jakie ciekawe figurki, bo chętnie uzupełniłbym mój zespół.

Łączy wiele pozdrowień

*Janik Gerhard, absolwent szkoły 15
Katowice-Zawodzie, ul. Waleriana 5*

Stańmy do konkursu. Kto weźmie palmę pierwszeństwa i stworzy najlepszą i najaktualniejszą postać do szopki?

Więc do roboty.

P. S. Podobno trudności sprawia nabycie skuwki metalowej do wałka. Autor artykułu p. Stabrawa zakomunikował, że stoi do dyspozycji świetliczan w sprawach związanych z budową szopki. Zwracajmy się więc ze wszystkim ufnie do niego.

Cosik łuo kursie teatralnym w Jastrzębiu Zdroju

Przeboczcie mi kamratki i kamraty, że dziepiyro teroski pisza. Dyć ech miał tako beskuryjsko ryma, abo jak to na wsi padajom sznupaczka abo jeszcze gorszy, wedle tej nowej młody „kator“, skyrś tego gupiko czasu. Coch zaczął coś naszkryflać, zaroski cołki papiór ból mokry. Co jo też s tom sznupaczkom miół za łostuda, tego żodnymu bych nie życół. Mamulech wszystkie sznuptychle i rynczniki załónaczół. A do tego jeszcze brało mie pierońskie kichanie, choć zech sznuptabaki nie wóniół.

A teroski do rzeczy.

Tak jak już nikierzi wycie, że w kąpielu tj. w Jastrzębiu Zdroju odbół sie kurs teatralny, w tej największej chałupie, kiero sie nazywo „Willa Opolanka“, łud czterydziestego listopada do 9 grudnia latosigo roku (1937). Trzeba pedzieć, że sie nojpiykniejsze dziółchy i synki z naszych świetlic posjyżdźali. A było nas bes piyndziesiąt, do kupy z dziółchami. Uczyli my sie pieśniczek, starodownych tańców, kiere nosi starka ze starsikym tańcowali, no i recytacyji i inscynizacyji, coch przed tym nie wiedziół ani co to jest, i mocka inkszych komedyji, smutnych, radosnych i miłosnych, przy kierych sie niejednymu dostało piyrśzy ros w życiu nikierej szykownej dziółsze poprzoć.

Gowiydź była rostomańto, ze wszystkich strón całego powiatu rybnickiego. Byli łud Niedobczyc, Nowej Wsi, łud Rogów, Dymbiynska, no i łud Pszowa, z tego świentego miejsca, skąd też były dwie gryfne dziółchy, za kierymi kiela synków zagłondało, ale „škodą mrugać“.

Trzeba jeszcze spómnieć, że nad synkami ból „gazda“, kierego też trza było słóchać. Ból to piykny synek „nima cio“ i kurs teatralny nie ból dło niego nic dziwnego i nowego. Miywoł każdy tydzień i to w piontki imiyniny. Czynsto też miywół bóle serca, a to skiż tego, że sie mu wszystkie Lynki na kursie podobały, no i czasym nikiero Wikcia. Gażdżina, ta kiero miała prawo nad dziółchami, też stfora dobro i szykowno, jyny, ze swoim sercem, podobno była troszka do Gazdy:

Jo wóm zdradza, co jóm boli

Jaki tropiom jóm marzynia

Łona se „harcyrza“ woli

A nie kursistów spojrzynia...

Ból se też na kursie niejaki „Piksa“. Tyn co pedziół słowo, zaroski sie wszyjscy musieli za bas dzierżec łud śmiychu. Ło tych inkszych „Gwizdkach, Kubusiach, Orlach i łobywatelach kuchni“, nie byda spóminoł, zaś

inkszy roz. Dycki też tam piyknie było, bo myni piyknie było czasym przy wydowaniu łobiadów. Karlusy! Kaj ból wasz „mores“. Gańby żeście kursowi narobili. Kaj sie nikierzi wychowali, to nie wia, ale wyglondało to jakby w chlywie. Ci kierzi nejbliżyj siedzieli — jedli aże trzy porcyje, a kamraty na końcu musieli czasym jak „Gandi“, kierego my też mieli na kursie, głodować. Synki! To nie było po kawalersku, ale to było po soróńsku, a przykozanio „Miłuj bliźniego jak siebie samego“ — nie znocie?

Musza też spómnieć łuo tym naszym kiyrowniku, łuo kierym sie noleżało zaros na początku cosikej pedzieć. Nazywoł sie pón Wiśniowski. Pochodzi to możno łuoł wiśnie, kiero jest kwaśno. Nie ból jednak kwaśny, ale trza pedzieć że ból dość słodki, chłop ze sercym, abo jak to padajóm łuoł Boga, kierymu też wszyjscy srómotnie pszoli. Drugom figuróm za kiyrownikym była p. Bachmanówna, frelka jakij biyda połówić. Nazywano była bes nas kiyrowniczka. Szwarno to była frela i szwarne były łuoł nij nałuki i słowa, co bych se ani nie ból myśłoł. Musiała jeszcze być samotno, bo wszystkie serca kursistów chciały do nij połuciekać. Trzeba pedzieć, że kursišci byli pobożni ludzie, bo przeca też i św. Mikołoj łuo nas nie zapomniół. Wyczytoł też každyemu te grzychy, myślowe i sercowe, za co sie djoboł z každy porachowoł takim siedmibolesnym. Jednak za łobiecani poprawy, łobdażół św. Mikołoj każdego pełniuskóm tytkóm roztomańtych ciaćków. Mieli my se też za wielko chera, jak nas łuołwydzali goście z poza miedzy, to jest łuoł Raciborza, to jest tego miasta, kiere nie leży w Polsce, ale trza pedzieć, że jest nasze. Łosprowiali nóm jak sie majóm, że tam młodziyz polska sie mo łogrómnie źle, że nóm wszystkim ich było srómotą żoł. Łołwydziół nas też pón Starosta z Rybnika, co to kiyruje cółkim powiatym rybnickim. Instruktor łoświatowy ze starostwa pón Danek, też ból kiela razy u nas i dycki my mu też cosikej zaśpiywali. Jakiś pón Śpiywok,



kierego też mocka łopchodzi młodziyz i rod też łopisuje łuo staroślaskich prowadach i berach, mógli my go też na kursie łogłondnać. Panoczek Pawłowski też do nos przijyżdżoł i łuczół nos piyknych inscynizacyji i recytacyji, a ból taki dobry, że mu też wszyscy pszoli. No i pón nałuczyciel Musioł z Jastrzębia Górnego, co to te stare ślaski tańce, ło kierych już wszyscy pozapóminali, łodnowioł, też kierys roz ból u nos. Byli to ludzie wielcy i mali. Do tych wiynkszych trza by jeszcze postawić panoczka Żylawskiego, co też szykownie nos łuczyl i szykownie śmiychu narobiół. Kierych żech tu nie wymiynioł, to przeboczcie, bo se ni moga wszystkich pospóminąć, a zapisywać ech tego nie zapisowoł. Na zakończyni kursu pojechali my se do Rybnika na takim wielkim motorze, mi sie zdo że to padajóm na to starzi ludzie „ałtobus“, co niejednyn snos w takim pieróństwie jeszcze nie jechoł. Zestrojili sie co jedyn to piykniejszy. Synki w tych buciorach i strojach wyglondali jak wielcy pampónie, co majóm po 100 abo wiyncy juter pola. Łuo naszych dziółchach to „nima cio, škoda anciuga“. Jedna szwarniejszo łod drugij, tak żech sól nie wiedzioł kierej bółbych popszoł, kiby mie kiero była chciała. Tacy piykni pszijechalimy do Rybnika, do „Hotelu Polskigo“, w kierym też jeszcze mało z nos było, bo trza pedzieć, że byli to wszyscy bezrobotni, co czasym ani na skrynta ni mieli. Prziwitoł nos tu pón iszpechtór Szafran, co też na łotwarciu kursu w Jastrzębiu Zdroju piykno egzorta nóm zrobiół.

Tukej w tym wielkim zalu przed roztomańtymi panoczkami, chrupszymi i ciyńszymi, pokazowali my nasze kónszta, kiere my sie na kursie nałuczyl. Za zopłata trzaskali nóm łokropnie rynkami. Przi rozłęczaniu sie, srómotnie było ślimtanio i pociunganio nosym. Żoł nóm było sie rozłónczać, tela piyknych chwil przeżytych na kursie, iże kiedy prziszło łodjyżdżać to nos cosikej za gordziele chytało. Nejgorszy to już było sie rozłónczać tym dwoistym serduszkóm, co sie na kursie schytły do kupy. Na zakończynie musza przypomnieć tym co na kursie byli, żeby se nie myśleli, że byli w Jastrzębiu Zdroju dwa tydnie na kuracyji abo letnisku. Chytejcie się czympryndzej do roboty we swoich świetlicach. To co my sie na kursie łuczyl, pokorzcie waszym zespołom teatralnym, kiereście, myśla, założyli.

Dej Pón Bóczku cobyśmy sie jeszcze trefili wszyscy w kupce, a możnej niedługo bydymy na to czakać.

Do widzynia!

Rafał Sitek

Świetlice mówią o sobie

Co słyhać w Świetlicy Powszechnej w Rudzie

Korzystając z grzeczności naczelnego redaktora kroniki Świetlicy Powsz. w Rudzie pt. „Świetlicowe godki“ przedrukowujemy z nru 1. wspomnianego pisma ściennego (z dn. 10 grudnia 1937 r.) kilka ilustracji, przedstawiających wybitne osobistości tamtejszego terenu świetlicowego.



Komunikat meteo-
rologiczny:
Obawiamy się, że
kaktusy zmarzną...



Oto słynny kierownik turystycz-
no-wycieczkowego działu

Moja
specjalność -
delikatność!

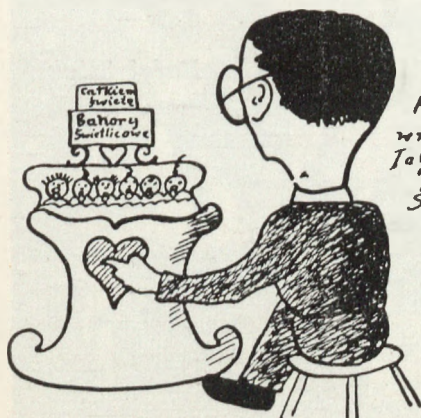


Znakomity gospodarz świetlicy. Widne
z wyrazu twarzy jaki łagodny i delikatny

Cieść-Prość



Joan Hechtelk.



Prof. Kędryna
w roli piastunki
Jagatunku
ludzi, takimi
Świetliczan!

Joan Hechtelk.

„Spiritus movens“ roboty, pia-
stujący swój „skromny darobek“

Z Świetlicy Powszechnej w Siemianowicach

Brrr... zimno już na dworze! Wilgoć wciska się wszystkimi szparkami aż do gołej skóry i zamienia ją na gęsią, a zęby kołaczą jedno o drugie! Co robić? Gdzie iść?!...

A może byśmy zaglądnęli do świetlicy! Zawsze trochę się ogrzejemy i przeczytamy coś o ostatnich rozgrywkach ligowych.

Stajemy przed jasno oświetlonym lokalem. Zaciekawia nas duży, czerwony afisz w oknie. Podchodzimy bliżej i czytamy: „Staraniem Ośrodka Oświatowego w Siemianowicach odbędzie się w świetlicy powszechnej wykład o życiu na Podhalu. Wygłosi p. Michał Piksa, góral, który równocześnie dla koncert na listku i harmonii. — Wstęp wolny“. — A, to ten, który przed paru dniami występował z góralami w radio, świetnie!

Wchodzimy do środka. Uderza nas na wstępie idealna cisza, tylko radio nadaje sygnał którejś stacji. Sala jednak pełna, ale są zajęcia ciche. Z jednej strony cały szereg stołów zajęty przez szachistów milczących i poważnych, zda się o losach świata rozstrzygających, z drugiej zaś rozsiedli się ci, którzy szukają w dziennikach wiadomości z Polski i ze świata. Niektórzy tylko, niezdecydowani co robić, chodzą od stołu do stołu i zaglądają przez plecy swoich towarzyszy.

Jest dopiero siódma, za pół godziny będzie wykład. — Stajemy na chwilę za czytającym „Przegląd sportowy“, a tymczasem sala zaczyna się napępiać. Robi się lekki gwar. — Każdy szuka miejsca dla siebie. Wszyscy czekają na wykład.

Punktualnie o godzinie 7,30 wchodzi do sali okazały góral — to Michał Piksa. Jest to człowiek wzrostu dość pokaźnego, dobrej tuszy, o twarzy rubaszej, zawsze uśmiechniętej.

Na sali zaraz ustaje gwar. Wszyscy przerywają zajęcia, zwracając oczy na pięknie ubranego górala, który wchodzi na podium i wita nas po swojemu.

Od pierwszego wejrzenia czujemy do niego sympatię.

Zaczyna mówić. Zauważamy odrazu, że jego mowa tak bardzo podobna do naszej śląskiej gwary. — Opowiada nam o górach, o życiu swoich ziomków kochających nad wszystko swobodę, o ich strojach, śpiewach, tańcach i kłopotach, o Janosiku-zbójniku, który ich po łupy do Węgier prowadził a biednych nigdy nie krzywdził, o rycerzach śpiących w Tatrach, co ich generał Galica zbudził do walki o wolność i wiele, wiele ciekawych rzeczy, z których są dumni nasi górale.

Gdy skończył, bijemy mu brawo i czekamy na koncert.

Wyciąga p. Piksa harmonię, wkłada do ust zwykły bluszczowy listek, bierze głęboki oddech i gra. Z listka wydobywają się tony wysokie, melodie skoczne i smętne. Wszyscy zastygli w bezruchu wczuwamy się w muzykę. A gdy zagrał „Góralu, czy ci nie żal“ ogarnia nas dziwne jakieś wzruszenie, a i sam mistrz ma łzy w oczach, bo pewnie tęskni za górami. Żegnamy go serdecznie a kierownikowi świetlicy jesteśmy bardzo wdzięczni za tyle miłych wrażeń.

Świetlica na „Kaczym Dole“

Słyszeliście już kiedyś coś o „Kaczym Dole“?... Na pewno jeszcze nie! Krążą o nim ciekawe historie, których warto posłuchać... Są to historie straszne, o strachach i o utopcach, na wspomnienie których krew mrozi się w żyłach... Tych utopców to tam kiedyś było więcej, więcej niż żab w „przykopie“. Wodziło ludzi to plugastwo, dokuczało ludziskom a najwięcej dziewczętom... Dzisiaj jest tego mało, bo to wszystko kaczki pozjadały. Dobre i poczciwe kaczki pozjadały utopce jak żaby; stąd też pochodzi pewnie sławna i wszystkim znana nazwa „Kaczy Dół“.

Czyżo-wice jak sama nazwa wskazuje pokrewne są Kato-wicom. Różnica jest w tym, że w Kato-wicach jest dużo dołów (kopalnie) i dobrych wiców, bo tam mieszka ten... no ten, co to do tego radia rozprawia te bajki... W Czyżo-wicach jest tylko jeden dół, „Kaczy Dół“. Nie ma tam takiego głośnego „łozprowiocza“, ale jest dużo kaczek, nie takich co to w większych miastach w gazetach drukują i między ludzi puszczaają ale takich prawdziwych co to żaby zjadają a dawniej i utopce. Są też i tacy co wice rozprawiają... Jedni pożyczają od „Karlika z Kato-wic“ ale są też i tacy co swoje opowiadają i to takie, że im się trzeba 3 dni śmiać...

Otóż na tym „Kaczym Dole“ mieszkają kaczki i ludzie. W lecie to ludzie muszą siedzieć w domu, bo jest dużo wody, tylko kaczki chodzą sobie, pływają i żaby jedzą... W zimie zaś ludzie sobie chodzą i kaczki jedzą...

I tego roku też tak jest. Przyszła sobie taka dobra zima i ścięła wszystko grubym lodem. Zamarzło wszystko... zamarzł też i „Kaczy Dół“... Teraz zaczęło się dopiero życie ludzkie na „Kaczym Dole“ a zwłaszcza wieczorem...

Święta Bożego Narodzenia przeszły jak wspomnienie. Przebrzmiały echa ostatnich kolęd... Do ostatka też zeskubano kaczce pierze na „Kaczym Dole“... Co teraz?... Starzy siedzą w domu, dokładają do pieca, grzeją się i wspominają dawne czasy... Hej dawne czasy... nie zawsze wesołe... Cóż mają młodzi robić, co do pieca nie potrzebują dokładać, bo im ciepło... Co robić... O czym wspominać?...

Wieczorem, kiedy na ciemnym niebie wielki wóz i księżyc zawisnie, zaskrzypi gdzieś u któregoś z domów dyskretnie furtka a ciszę spokojnego wieczoru zamąci głos od progu: „A kaj zaś to idziesz ty smykulo smarkato“... „... A dyć ino na „Kaczy“ mamulko, zarozki przida“... powie cię przy furtce... „No, aż cie o 10 widza w chałupie, bo ci wszyscy kuczka wytargą!“... Na tym kończy się zazwyczaj dialog, cię już śmieiej zamyka furtkę i dąży w znanym kierunku... śmieiej też zaskrzypi śnieg pod stopami...

Gwarno jest dziś na „Kaczym Dole“... Daleko i szeroko w wieś słychać gwar zmieszanych głosów. Ktoś przysłuchujący się z daleka myślałby, że to jakaś porządniejsza kłótnia albo „haja“... Ale chodźmy bliżej i zagłębimy przez, mimo mrozu, otwarte okno. W obszernej, lecz niskiej izbie u „Barbory“, wypełnionej aż pod sufit młodymi, wyróżnić można ciasno zbite grupki — zespoły... Łóżko wysila się jak może, aby utrzymać orkiestrę biegłych mandolinistów; tak zaszczytne miejsce zdobyli tylko dzięki

grze na wysokim poziomie, grając pieśni pobożne, przeplatane tangami własnej kompozycji... W kącie za szafą, na skrzyni, osłonięci chmurami dymu siedzą zwolennicy szachów. Cicho w ich kącie, tylko zamaszyste ruchy i stuki stawianych i przesuwanych figur słyszeć. Reszta towarzystwa nic ich nie obchodzi, gotowi są twierdzić, że w izbie jest cicho jak w kościele... W środku na przewróconych garnkach, na ceglach, na byle czym, usiadło mieszane bractwo. Czyżowicki „Karlik z Kocyndra“ opowiada z prawdziwym doświadczeniem wica, pomagając sobie przy tym rękami. Wszyscy słuchają z wielką uwagą i napięciem... jeszcze jeden gest i parę słów i wic się nieoczekiwanie kończy — jeden z tych lepszych... Całą izbą zatrzęsł śmiech... wyskoczył przez okno i poleciał na wieś... „Ale też tam ryczą te nacyje na tym „Kaczym“, aże ryczą“, powie ktoś ze starszych, grzejący się u pieca... i zaszczeka gdzieś pies przy budzie... A w izbie wtedy podnoszą się wszystkie głowy, prócz szachistów. Powiedz jeszcze raz, odzywają się liczne głosy... „Książd dwa razy tego samego kazania nie mówi“ powiada Karlik, dumny ze swej sztuki... Orkiestra ucięła jakiegoś marsza i grupki wracają do swoich czynności, tylko kot wystraszony „prasnął“ oknem do pola i tyle go było widać... Niewielki stół obsiadło a raczej oblepilo dookoła dobrane towarzystwo „fanta“. Wyprostowane palce biją z zapalem o stół, na rogu ktoś głośno zmyśla bajkę. Raz po raz podnoszą się czyjeś palce albo też fant wpada do czapki. Wszystkiemu towarzyszy śmiech i humor... Hej! młodość, myśli sobie, uśmiechając się stara „Barbora“, matka czterech, na całą wieś wychwalonych synów, u niej też tradycyjnie zbiera się młodzież... Hej! młodość — radość... starość nie radość... Hej! młodość, pomyślał też z pewnością i stary, bo jeszcze przedwojenne czasy pamiętający, zmurszały zegar na ścianie; ale, że z natury lubił spokój i samotność, a całe towarzystwo swą wrzawą dokuczyło mu już porządnie, odchrząknął jak gdyby chciał coś powiedzieć — a ponieważ nikt na niego nie zwracał uwagi, zaczął głośno, chociaż spokojnie i chrapliwie, wybijać godziny... Jeden, dwa, trzy, cztery... dwanaście naliczyła stara „Barbora“... „A dyć idźcie już do domu, wy nacyje, na dyć już jest dwanasto!“ „Jejku kany“ pisnęła któraś z dziewcząt i wszystkie jak stado kur rozleciały się do domów... Za dziewczętami poszli i chłopcy,... tak zwykle bywa, tylko żeby szachistów wyprowadzić do domu, musiała „Barbora“ użyć silniejszych argumentów... ba, nawet warzechy... Hej, młodość! pomyślałem i ja z kolei za oknem i poszedłem do domu...

Hej, młodzi kierownicy i przodownicy świetlic! Parę bratnich i serdecznych słów do Was.

Zanim przystąpicie do zaszczytnej i tak ważnej pracy na tym kawałku niwy społecznej i narodowej, rozglądnijcie się bacznie w środowisku. W każdym środowisku, a więc i w Waszym, tkwią pewne naturalne grupki-zespoły, które łączy pewna więź, więź pracy prowadzącej do wytyczonego celu. Wszak człowiek jest istotą towarzyską. Waszym zadaniem jest przeszedzić dany zespół na grunt świetlicy. Świetlica ma być dla tego zespołu ogrodem o dobrej glebie. Zespołowi trzeba dać swobodę samodzielnego rozwoju, naturalnie, że będzie trzeba pewne rzeczy jak np. „szkata, ańca i grubsze wice“ wyrugować, ale nie kategorycznie, drogą rewolucji, tylko powoli pod-

suwać nowe „inteligentniejsze numery“. Każde zebranie zespołu musi być urozmaicone audycją we własnym zakresie, dającą w pierwszym rzędzie zadowolenie członkom świetlicy. Trzeba pamiętać, że Świetlica Międzyorganizacyjna jest wspólnym dobrem, jest czynnikiem nadrzędnym harmonizującym działalność wszystkich organizacji młodzieżowych w Polsce; ma wszystkie dążenia młodzieżowe scalić, wytwarzając jedną wielką i samodzielną młodą komórkę, zdolną do twórczego życia.

Na wyżej wymieniony temat powinny zaskrzypieć pióra wszystkich kierowników, przodowników i członków świetlic, aby praca nasza przybrała nie narzucone, nie obce lecz samodzielne kształty indywidualne.

A więc piszcie wszyscy i pomnijcie też czasem „Świetlicę na Kaczym Dole“ i moich skromnych parę uwag.

W. A. z Czyżowic

W zespołach świetlicowych wre praca



Zespół teatralny Światlicy Powszechnej w Rudzie brał udział w akademii 11 Listopada. Tańczono tańce ludowe! Było hucznie i uroczyście. Sądząc ze zdjęcia musiało być — mimo uroczystego nastroju — i miło i sympatycznie.

Zespół samokształceniowy świetlicy „Jedność“ głowi się nad jakimś ciężkim zagadnieniem. Któż wie, może losy świata ważą się przy skromnym, świetlicowym stoliku. Można by tak wnosić z skupionych, „ważnych“ min uczestników zespołu.





Międzyświatlicowy zespół teatralny w Katowicach urządził „Mikołaja” — aż radość patrzeć. Wesoło musiało być, bo wesoło!

Redakcja „Światlicy“

życzy swym czytelniczkom i czytelnikom

Dasiega Roku

Odpowiedzi redakcji

WP. Raf. Sit. Jastrzębie Górne. Dziękujemy za notatkę, prosimy o dalszą współpracę.

Jeden z światliczan RIOK, Hajduki Wielk. Pieśni „Szumią fale“ nie możemy umieścić, choć brak istotnie repertuaru piosenek turystycznych. Pieśń nie odpowiada elementarnym wymogom prozodycznym. W tej sprawie pojawi się w jednym z przyszłych numerów „Światlicy“ obszerniejszy artykuł.

WP. Henr. Mat., Katowice. Rozwiązanie które WPan podał mija się z prawdą. Średnice kół wynoszą mniej więcej 11, 18 i 38 mm. Powierzchnia koła jest iloczynem kwadratu promienia przez cyfrę 3,14 (wzór geometryczny $r^2 \pi$). Po wyliczeniu okaże się, że stosunek powierzchni kół wyraża się mniej więcej jak 1 : 4 : 13.

WP. G. Z., Katowice. „O kulturę współżycia w Światlicach“ i „Co to jest gazeta i jak ją czytać“ umieścimy w jednym z następnych numerów. W sprawie sprawozdań z książek prosimy o osobiste skomunikowanie się.

(C. d. odpowiedzi w nast. nrze „Światlicy“).

Echa 11 Listopada

Świetlica Powszechna „Jedność” w Katowicach obchodziła uroczyste Święto 11 Listopada.

Śpiewano z całej duszy!
Na chwałę Ojczyzny i dla
pokrępienia serc.



Widownia świadczy o pod-
niosłym nastroju.

W skład programu wcho-
dziły śpiewy, muzyka, recy-
tacje, inscenizacje, żywe o-
brazy itd. . . .





ZAGADKI

1) Zagadka sylabowa

Z następujących sylab utworzyć 17 słów, których litery początkowe dadzą rozwiązanie następującego znaczenia:

a - au - be - ber - ce - czał - des - don
 - e - eu - fe - fia - ga - gia - gło - go -
 gra - in - ka - kan - ki - ko - ko - kra
 - li - li - lo - łę - mont - mu - ni - ni -
 nia - o - o - or - or - or - os - pi - ra
 - rest - ru - ry - so - to - to - tor - tro
 - tro - tu - ty - tes - u - usz - ve - wa -
 wac - wer - wi - za.

Znaczenie wyrazów

- 1) Forteca na północ od Verdun
- 2) Legendarny śpiewak grecki
- 3) Filozof grecki
- 4) Oprawiacz książek
- 5) Poeta i tragik grecki
- 6) Prawdziwe nazwisko Prusa
- 7) Nauka o ptakach
- 8) Postać tragiczna starożytnych Greków
- 9) Pisownia
- 10) Stolica papieska
- 11) Szczyt Himalajów
- 12) Miejscowość kuracyjna na Śląsku
- 13) Miejsce bitwy polsko-rosyjskiej 26. V. 1831 r.
- 14) Państwo europejskie
- 15) Miejsce żyzne w pustyni

16) Nazwa małego ptaka

17) Wstęp orkiestry do utworu scenicznego.

Ułożyła A. Bachmanówna

2) Co to jest?

1. Bez kółek, bez osi a jedzie jak diosi?
2. Jedzie, jedzie herkulosek, sypie mu się z ręki piosek?
3. Idzie bez woda nie chlupnie, idzie bez most nie tupnie?

Powyższe trzy ludowe śląskie zagadki nadesłał nam łaskawie Wydział Okręgowy RIOK w Katowicach.

3) Zagadka kwadratowa

Litery na kwadracikach należy tak poustawiać, żeby odczytywane z góry na dół i w poprzek dały następujące wyrazy:

A	A	A	A	A
A	I	I	K	K
K	K	L	L	M
M	N	N	O	O
S	S	S	T	W

- 1) Miastow Syberii
- 2) Rodzaj drzewa
- 3) Król w Syberii
- 4) Dopływ Wisły
- 5) Droga wodna

Rozwiązanie powyższych zagadek należy nadesłać do dnia 1. II. 38.

Za trafne rozwiązanie Redakcja „Świetlicy“ przeznaczca cenne nagrody książkowe.

Rozwiązanie zagadek z nr 6

Łamigłówka

Powierzchnie trzech kół mają się do siebie jak 1 : 4 : 13. Dodać do siebie i podzielić przez sumę 91.000 stosownie do tego otrzymuje

najstarszy lat 35 : 5.000

średni „ 30 : 20.000

najmłodszy „ 25 : 66.000

Razem 91.000

Co to jest?

a) Mrok b) Kokosza

Zagadka sylabowa

- | | |
|-------------|---------------|
| 1) Warszawa | 14) Zoologia |
| 2) Zegarek | 15) Darwin |
| 3) Drzymała | 16) Reymont |
| 4) Retorta | 17) Owidiusz |
| 5) Owiedo | 18) Wagner |
| 6) Węgry | 19) Ytterbium |
| 7) Ysaye | |
| 8) Mecenas | 20) Dardanele |
| | 21) Urugwaj |
| 9) Chłopi | 22) Cyprian |
| 10) Irawadi | 23) Horoskop |
| 11) Euterpe | |
| 12) Leander | |
| 13) Eroika | |

W zdrowym ciele — zdrowy duch

Rozwiązania zagadek z nru 7. „Świetlicy“ zostaną umieszczone w następnym numerze.

TREŚĆ NUMERU:

Rok 1863. — Śląsk a rok 1863. — *M. Konopnicka*: O Zygmuncie Padlewskim. — Rozstrzelanie Padlewskiego. — Ułaskawienie. — Zaśpiewajmy. — Andrzej Strug (*Tadeusz Gałęcki*). — *J. Mączka*: Krwawy spadek. — Co czytać (*A. Strug*: Mogilka). — Biała baśń. — Jak wykonać sanki? — Robimy szopkę. — Cosik łuo kursie teatralnym w Jastrzębiu Zdroju. — Świetlice mówią o sobie (Co słyszał w Świetlicy Powszechnej w Rudzie. — Z Świetlicy Powszechnej w Siemianowicach. — Świetlica na „Kaczym Dole“). — W zespołach świetlicowych wre praca. — Odpowiedzi redakcji. — Echa 11 Listopada. — Rozrywki.

Miesięcznik „Świetlica“ ukazuje się dnia 20 każdego miesiąca pod redakcją F. Sachsego.

Redaktor odpow. i kierownik administracji: Mgr Edw. Wawrzoń.

Wydawca: Komitet Redakcyjny.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Pocztowa 16, III p., telefon 347-13. Konto P. K. O. 309-030.

Prenumerata roczna 2,— zł, cena pojedynczego numeru 20 gr.

DRUKIEM K. MIARKI W MIKOŁOWIE